

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 1(25)

WARSZAWA

1958

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Janusz Chmielewski, *Witold Jabłoński* 3

*

Ananiasz Zajączkowski, *Refleksje pokongresowe* 17

Bogusław Mrozek, *Powstanie systemów zamindari i rajjatwari w rolnictwie indyjskim na przełomie XVIII i XIX wieku* 45

UTWORY LITERACKIE

Sait Faik Abasıyanık, *Białe złoto* (z tureckiego przełożyła Stanisława Rymkiewicz) 61

Abd ar-Rahmān asz-Szarkāwī, *Małe marzenia* (z arabskiego przełożył Józef Bielański) 71

Bajki ludu hausa (z hausa przełożyła Nina Pilszczykowa) 77

ZAGADNIENIA TRANSKRYPCYJNE

Tadeusz Andrzejewski, *W sprawie polskiej transkrypcji wyrazów egipskich* 85

MATERIAŁY I NOTATKI

Karykatura w prasie tureckiej (p.t.) 95

RECENCJE

Z KSIĄŻEK

Wiesław Kotański, *Z najnowszej literatury japońskiej* 101

*

Antologia literatury chińskiej (Tadeusz Żbikowski) 106

Nazim Hikmet, *Pieśni pijących słońce* (Jan Reychman) 107

L.O. Alkaewa, *Tworczestwo Chalida Zii Uszaklygijija* (Tadeusz Świętochowski) 110

T.A. Szumowski, *Tri niezwiestnyje lociji Ahmada ibn Madżida arabskiego locmana Vasco da Gamy* (Włodzimierz Zajączkowski) 112

Rubā'iyāt-i Hayyām (Franciszek Machalski) 113

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 115

KRONIKA

Witold Armon, *Kilka słów o prof. Dietrichu Westermannie* 119

Prof. dr Ludwik Piotrowicz 121

*

Z ruchu naukowego na polu orientalistyki
Kronika Uniwersytecka 122

<i>Spotkania międzynarodowe orientalistów</i>	122
<i>Wykład polskiego orientalisty na Uniwersytecie w Jerozolimie</i>	124
<i>Wyjazdy zagraniczne polskich orientalistów</i>	124
<i>Wizyta chińskich językoznawców, prof. Wang Li i prof. Kao Ming-k'ai</i>	125
Z wydarzeń kulturalnych	
<i>Wystawa sztuki Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej</i>	126
<i>Wieczór twórczości ludów afrykańskich w Krakowie</i>	127
<i>O Czechosłowackim Towarzystwie Orientalistycznym</i>	127
<i>Powstanie Towarzystwa Orientalistycznego w Rumunii</i>	127
<i>Z działalności Amerykańskiego Towarzystwa Orientalistycznego</i>	128
Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie	128

SPIS TABLIC

Do art. J. Chmielewskiego, <i>Witold Jabłoński</i>	TABL. I — II
Do art. A. Zajączkowskiego, <i>Refleksje pokongresowe</i>	TABL. III — IV
Do art. B. Mrozka, <i>Powstanie systemów zamindari i rajjattwari w rolnictwie indyjskim XVIII i XIX w.</i>	TABL. V — VIII

*

Winiетка na okładce przedstawia hebanową figurkę, wykonaną przez artystę ludowego z Afryki Północnej.

СОДЕРЖАНИЕ

СТАТЬИ

Януш Хмелевски. <i>Витольд Яблоньски</i>	3
*	
Ананьяш Зайончковски. <i>Впечатления после конгрессов</i>	17
Богуслав Мрозек. <i>Возникновение систем „заминдари“ и „райятвари“ в сельском хозяйстве Индии на рубеже XVIII и XIX веков</i>	45

ЛИТЕРАТУРНЫЕ ПРОИЗВЕДЕНИЯ

Сант Фаик Абасыянык. <i>Белое золото</i> . Перевод с турецкого Станиславы Рымкевич	61
Абд ар-Рахман аш-Шаркави. <i>Небольшая мечта</i> . Перевод с арабского Юзефа Белявского	71
<i>Сказки народа хауса</i> . Перевод с хауса Нины Пильщиковой	77

ВОПРОСЫ ТРАНСКРИПЦИИ

Тадеуш Анджеевски, <i>К вопросу польской транскрипции египетских слов</i>	85
---	----

МАТЕРИАЛЫ И ЗАМЕТКИ

<i>Карикатура в турецкой печати (п.т.)</i>	95
--	----



SAİT FAİK ABASIYANIK

BIAŁE ZŁOTO

Sait Faik Abasiyanik urodził się w 1907 roku w Adapazar. Po ukończeniu szkoły średniej w Brusie udał się na studia wyższe do Francji, na uniwersytet w Grenoble. Zarówno studia, jak i pobyt we Francji odegrały wielką rolę w kształtowaniu się jego poglądów, charakteru, a nawet i talentu.

Po powrocie do Turcji przez pewien czas jest nauczycielem, potem zajmuje się handlem, równocześnie zaczyna pisać.

Opowiadania swe drukuje najpierw w tygodniku „Varlık”, a w 1935 roku wydaje pierwszy zbiorek pt. *Semaver*. Od tego czasu ukazało się szereg zbiorów opowiadań, między innymi: *Niepotrzebny człowiek*, *Ostatnie ptaki*, *Kawiarnia*, *Cysterna*, *Chmura w przestworzu*, *Samowar*, *Towarzystwo*, *Przy basenie*. Wydał również powieść pt. *Grupa ludzi*.

Dwie są charakterystyczne cechy jego twórczości. Po pierwsze opisy jego cechuje obrazowość i barwność, a po drugie autor podaje fakty nie zabarwione własnym uczuciem czy myślą, pozwalając czytelnikowi na snucie wniosków takich, jakie jego psychice odpowiadają. Nie ma w jego utworach dydaktyki czy jakiegś tendencji — jest wytyczonych szereg dróg, którymi myśl czytelnika może iść, jest wiele wniosków, które można wyciągnąć z jednego krótkiego opowiadania.

St. R.

Tu, gdzie obecnie mieści się kino i budynek partii, znajdował się ongiś cmentarz, którego drzewa strzelały ku niebu, a trawy sięgały chmur. Na pokrytych ciemnym mchem marmurach, na których można było odczytać słowa wiecznego pożegnania, pośród cyprysów, szczwołu i pokrzyw rysowały się marmurowe, zdobne chwastami fezy i olbrzymie zawoje.

Po tym zakątku, w nocy fosforyzującym jak morze, w dzień uganiały się dzieci; rosłe wyrostki wdrapływały się na orzechowe drzewa, handlarze chałwą i chłodzącymi napojami z winogron i prosa, drzemali wsparci na marmurach.

Tuż naprzeciw cmentarza wznosiły się magazyny towarowe o kamiennych fasadach oraz dom handlowy, szeroki około 5 metrów, długi na 30 metrów, należący do Eskidzi zade Nedima. Wydzielone trzymetrowe pomieszczenie stanowiło kancelarię. Siedział tam człowiek tęgi, średniego wzrostu, o chytrym wyrazie twarzy. Jakbym dziś widział go, jak pije kawę, robiąc jednocześnie jakieś notatki. Człowiek ten spoglądał na kamienie i cyprysy cmentarza bez wzruszenia i lęku przed śmiercią.

Pewnego dnia, w czasie wojny światowej, kiedy w piekarniach miasteczka sprzedawano chleb kartkowy, a po ulicach wałęsały się głodne psy, ludzie kulawi, ślepi i starcy, ujrzawszy mnie, gdy przechodziłem przed jego kancelarią, rzekł:

— Choć, sekretarzu, może byśmy coś zjedli?

Co to znaczy: byśmy zjedli? Z czego właściwie składa się jedzenie? To zawsze stanowi nie byle jaki problem. Ale w tych czasach jedno *okka* przydziałowej mąki większą miało wartość niż pełnoletni chłopak wiejski. W tym stanie rzeczy, co to znaczy „zjeść coś”? Oto chleb upieczony w domu w specjalnym piecu z wyborowej mąki z pszenicy gruboziarnistej, pachnący goździkami, posypany po wierzchu kminkiem. Kromka takiego chleba pachnie mi dotychczas jeszcze mąką, goździkami i dostatkiem. Oto tłuste, zarumienione nerezcki, wobec których zdaje się gasnąć żar w mangale, wzniecony na wysoko kalorycznym węglu. Delikatne jagnięce kotlety, posypane majerankiem, stare, dwudziestopięcioletnie wina, przygotowane przez właściciela winiarni, chrześcijanina, dla swych miłych i drogich klientów, oraz figi z jednej z pobliskich wsi. W ogrodzie, za magazynami, smażą się kotlety. Pływające w oliwie karczochy w menażce, przyrządzone w domu... Bardzo lubiłem, bardzo smakował mi słodki pieróg, który podawano na deser pod koniec uczyty. Kto nie wie, co to jest wojna, może zapytać pierwszego napotkanego człowieka w średnim wieku, dlaczego z takim przejęciem mówię o tej uczcie. Jeszcze w tak niedalekiej przeszłości głodni karmili sytych i sami umierali. Jak wielkim wydarzeniem było spożycie obiadu w kancelarii Eskidzi zatego w czasach, kiedy jedni ginęli za ojczyznę, a inni kładli życie w walce o cukier i mąkę — wiedział także goszczący mnie tego dnia Eskidzi zade. Ja należałem do tych, którzy głodowali i milczeli. Buntu nie odczuwałem. Nie znajdowałem w sobie dość siły, aby przeciw komukolwiek podnieść głos. Jak wszyscy w mieście i ja powtarzałem: „Wojna, takie czasy”. Ale syci najadali się do woli. Powiedziałem sobie, że postępuję rozumnie i jak głupiec usiadłem do stołu.

Eskidzi zade podczas uczty, na którą mnie zaprosił, był zupełnie czym innym zajęty. Zazwyczaj wydawał przyjęcie po to, aby kogoś „położyć” albo też oszukać. Jeśli chodzi o mnie, to przyjmował mnie chcąc pochłubić się swym sprytem w dokonywaniu oszustw. Z uśmiechem przysłuchiwałem się jego słowom.

— Otrzymałem wiadomość, że pszenica zdrożeje. Połączyłem się telefonicznie z agentem Halepli zadego w Stambule. Ten człowiek jest równocześnie moim pośrednikiem. Polecilem mu nadać do mnie telegram tej treści: „Pszenica stanieje, weźcie to pod uwagę przy transakcjach”. Wieczorem, widząc się z Halepli zade, pokazałem mu telegram. Omal nie oszalał. „To niemożliwe, to kłamstwo” — mówił. „Czy ten człowiek jest twoim pośrednikiem?” — spytałem. Zmienił się na twarzy. „Czy to może być, czy to możliwe! — powtarzał — wczoraj rozmawiałem z dostawcami”.

„Chyba wojna się skończy” — rzekłem. „Przecież wszyscy tego pragniemy” — powiedział. „Trzeba duszko, aby rząd udzielił nam pomocy, żeby ochraniał handel, prawda”? „Gdybym to przewidział, w tym roku wcale nie zbierałbym dziesięciny”. „Ejże — rzekłem — nie tak dawno proponowałem ci, abyś mi odstąpił pszenicę po tej cenie. Gdybyś tak zrobił, nie spotkałoby cię to. Ja też chciałem wtedy przetrzymać posiadane towary. Nic nie szkodzi, prawdopodobnie i ty i ja zarobiliśmy coś poza tym”. „Skąd mogłem wiedzieć, bracie” — rzekł i odszedł.

— Tego wieczora wysłałem Alego do Stambułu — ciągnął dalej. Odwiedzał każdego, kto tylko mógł mu się przydać i polecał pisać, że cena pszenicy spada i mówić, że wojna ma się już ku końcowi, że Francuzi poproszą lada moment o pokój. Po trzech czy czterech dniach Halepli zade ukazał się przed moim sklepem, jakby droga jego właśnie tamtędy wiodła.

„Dokąd to Hadzi”? — spytałem. „Idę do Rizy, handlarza słodyczami. Gdy będę wracał, wstąpię” — odrzekł.

— Wiedziałem, że Riza jest tylko pretekstem. „Zamknę sklep, chcę przejść się nad rzekę”. „Niezła myśl, może i ja przyjdę”.

— Gdy odszedł, kazałem przygotować wóz. Krótko mówiąc tego wieczora zakupiliśmy pszenicę od Halepli zade. Nazajutrz, gdy stałem się właścicielem jego majątku, agent przebywający w Stambule nadał do Halepli zade telegram następującej treści: „Nie wypuszczaj z rąk pszenicy. Zdrożała o cztery liry na worku...”.

Jedliśmy kotlety jagnięce i nerki, piliśmy jak wodę wino, dostarczone nam przez sprzedawcę chrześcijanina. Eskidzi zade wybuchnął śmiechem na całe miasteczko drzemiące w gorącu południa. Zawstydzilem się, zadrzałem, przestraszyłem się, że miasteczko usłyszy ten śmiech.

Nie wychodziłem z domu chcąc uniknąć przyjęcia, jakie miało być wydane wieczorem nad rzeką w dniu, kiedy zamierzano ogłosić bankructwo Halepli zade. Był wieczór. Palilem papierosa siedząc na skraju drewnianej ławki, znaj-

dującej się przed domem i milcząc obserwowałem ulicę, milczących ludzi i psy. Od czasu do czasu na dźwięk słów: „cukier, kartki, chleb, front, Czanakkale, Kütelamare”, które pojawiały się na ustach przechodniów, wracałem myślą do rzeczywistości i cierpiałem. Byłem głodny. Chleb kartkowy wywoływał ból. Miałem zepsuty żołądek. W takim stanie rzeczy usiłowałem zapomnieć o wszystkim paląc papierosy. Czego chcieli ode mnie ci ludzie, mówiący bez przerwy



o Kütelamare i Enver paszy. Jak mogli oni, nie mając w swych żołądkach nic prócz chleba kartkowego myśleć o tym, co się dzieje na świecie? Mówili: „pokój, wojna”. Dlaczego nie rozmawiali o swych dzieciach i polach?

Nagle na rogu ulicy ukazał się faeton, zaprzężony w dwa kare konie. Jak to się stało, że woźnica, który nie był ani kulawy, ani bezręki, ani ślepy, uchronił się od wojska. Co mogło dolegać temu zdrowemu człowiekowi, równie ciemnemu jak jego konie?

— Oj sekretarzu, przecież on udaje chorego... lenistwo... ejże, czyżbyś i raki nie wypił? No, ruszajże!

— Daruj mi dzisiejszy wieczór, ago. Nie mogę pić raki. Znowu chwyciła mnie febra.

— Raki wspaniale robi na febrę. Chodź, dam ci kieliszek koniaku z chininą. Nie wypuszczę cię dziś.

— Nie pójdę, ago.

— Sekretarzu, bez ciebie się nie ruszę. Koniecznie musisz przyjść dziś wieczorem. Nie wiesz, co ze mnie za człowiek. Kazałem zmłócić dla ciebie

cztery worki mąki i odstawiłem głowę cukru, ważącą 4 *okka*. Dość już tych głupstw.

„Cztery worki mąki, głowa cukru ważąca 4 *okka*” — myślałem.

Nad rzeką zapadł ciepły zmierzch, ze szczytów topoli dolatywały głosy ptaków. Znajdowaliśmy się na jednej z wysepek. Jezioro w trzcinach małej rzeczki biorącej z niego swój początek, drzemie rozżalone, że rzeczka ta porywa i wyswabza stojące wody. A ona znowu staje się jeziorem.

— Człowiek — odezwał się Eskidzi zade — nie może zapomnieć o swym pochodzeniu. Patrzcie, nawet ta rzeczulka nie zapomina, że początek swój bierze w jeziorze. Jej woda jest ciepła i nieruchoma jak woda jeziora. Jak jezioro spokojna, jak jezioro — nie płynie. Nawet przyroda nie zapomina o swym pochodzeniu, kryje w sobie coś z niego. Jeśli chodzi o mnie, to zacząłem, jak to widać z mego nazwiska, od handlu starzyzną. Kiedy byłem jeszcze małym smykiem, kupowałem od wieśniaków na bazarze, gdzie handlują cebulą, jajka i sprzedawałem je. Tak jak i dzieci żydowskie, zbierałem starzyznę. Trwało to aż do małżeństwa. Kapitału nie miałem, nie należałem do bogatych. Nabrałem takiego doświadczenia w handlu, że czułem się zdolny nawet z małym kapitałem podbić świat. Ożeniłem się, żona moja miała trochę pieniędzy, a i czasy były odpowiednie. Lecz w handlu należy zdobywać doświadczenie od dziecka. Pamiętaj, sekretarzu, nie posyłaj swego syna do szkoły do Stambułu, przyzwyczajaj go do handlu. Niech sprzedaje zapałki, bibułkę do papierosów, niech się przyzwyczaja do handlu, warto. Handel daje korzyści. Kupiec nie jest niczym niewolnikiem.

Słuchaliśmy go i przyznawaliśmy mu rację. Chyba najwyższy urzędnik nie pił raki, nie jadł tych kotletów, bakłażanów smażonych, nadziewanych, kawiorów. Nawet geniusze śpiewający pieśni ku chwale ojczyzny też tego nie jedli. Niech żyje handel! Powtarzaliśmy „niech żyje handel” i piliśmy.

W ciągu 15 dni malaria uczyniła mnie podobnym do dziecka. Moje myśli, moje ciało — wszystko stało się jakby dziecinne.

— Ach, sekretarzu, co się z tobą stało!

— To przez malarię, ago.

— Allah, Allah! Co się dzieje! Co za przekłeta choroba! Wybacz, że nie interesowałem się twoim zdrowiem, ale wiele miałem kłopotów, jestem bardzo wyczerpany. Zamiast 4 przysłę ci dziś 5 worków mąki. Cukru — 15 *okka*. Starczy ci na rok. Przysłę też trochę kawy. Przemieszaj ją z grochem i używaj oszczędnie. Za kilka miesięcy tego towaru już nie dostaniemy.

— Daj ci Boże zdrowie, ago.

— Usiądź tu. Weź pióro do ręki i szybko przedstaw mi moje rachunki. Napisz też ten list i nie zapomnij o kopii. Potem zabierzemy się do jedzenia.

*

— Jedz chałwę, sekretarzu. Nie bój się, nie zaszkodzi. Zrobiona jest na czystej oliwie z Aleppo. Weź też trochę muszkatu. Przecież winogrona nigdy nie szkodzą!

— Dobrze, ago. Ale powiedz mi teraz, dlaczego trzymasz tego Rahmi Beja. Mówią, że on zrobił wielkie pieniądze. W miasteczku jego imię ustępuje tylko twemu w rozgłosie.

— Nie niepokój się, sekretarzu. Nie potrwa to długo. Zgnębię go. Będzie nędzarzem. Gdy nie będzie mógł zdobyć pieniędzy na chleb, znowu przyjdzie do mnie. Zobaczysz.

— Dobrze, ago, ale dlaczego tak robisz?

Nie odpowiedział. Śmiał się. To dawało mu maksimum zadowolenia. Namiętności, w miasteczku bez kina, teatru, kobiet i hazardu, były w ten sposób doskonale zaspakajane. Aby kogoś zgnębić, należy go najpierw wysunąć na taką pozycję, aby móc się z nim zmierzyć, potem pokonać i pożegnawszy go wybuchem śmiechu, zorganizować zabawę nad brzegiem rzeki.

Skromni mieszkańcy miasteczka lubili Eskidzi zadego. Każdemu zrobił coś dobrego, każdemu posłał mąki, cukru. Tymczasem wojna światowa miała się ku końcowi. Eskidzi zade, który już doprowadził do ruiny Rahmi Beja, zdawał się trochę dręczyć z tego powodu. Rahmi Bej wykazał więcej siły, niż on przypuszczał i starał się nie ulec w walce. Przysporzyło to Eskidzi zademui mniej więcej sto tysięcy lir dochodu.

Ale dziś, kiedy Rahmi Bej, Eskidzi zade i ja spożywalimy wytworny posiłek, Rahmi Bej był już wykończony i najciekawsze było to, że biedaczek nie zdawał sobie sprawy z wyrządzonej mu krzywdy. Siedział i jadł razem ze swoim katem. Tego wieczora towarzyszyliśmy mu aż do pociągu do Stambułu. Pieniądze na bilet dał mu Eskidzi zade, nie zapomniał również wręczyć mu książeczki czekowej na drobne wydatki.

Wróciliśmy do domu końmi, klnąc denerwujące nas drzewa, psy i piasek pod kołami wozu. Eskidzi zade wydawał się zamyślony i zrozpaczony.

— Sekretarzu — rzekł. — Źle jest z mymi zębami, bolą. Pojedziemy z tobą do Stambułu i zrobimy z nimi porządek.

— Dobrze, ago.

Następnego dnia zsypywalimy sprzedaną pszenicę do worków. Rachunki wykazały ogółem 80 tys. *okka*. pszenicy w magazynie, tymczasem, pomimo iż przy załadunku uzyskaliśmy już tę cyfrę, jeden z magazynów był jeszcze pełniuteńki. Pognałem do Eskidzi zadego.

— 80 tys. *okka* zsypałem — rzekłem. — Jeden magazyn jest jeszcze pełen po szczyty. Jak to się stało?

— Ach, sekretarzu — rzekł. — Nazywa się to produkcją magazynu. Zsyp i to do worków.

Wiedziałem, że pszenica daje ubytek. To znaczy pojmowałem swym rozumem, że zamiast 80 tys. możemy otrzymać tylko 78.868 *okka*. Biorąc więc towar z magazynu uwzględniano to prawo. Nie przypuszczałem jednak, aby dajmy na to 80 tys. *okka* dało zwyżkę 90 tys.

Znowu były nerki, karczochy, znowu kompot z pigwy, muszkat, figi z żółtych wzgórz. I znowu Eskidzi zade śmiał się:

— Sekretarzu — mówił. — Rozum twój nie może tego pojąć. Hej, Ali Athleto, chodź no tu, wyjaśnij sprawę przyrostu w magazynie.

Athleta Ali był wagowym, który ważył towar brany od wieśniaków. W zasadzie był on pracownikiem miejskim, ponieważ jednak zarząd miejski należał do Eskidzi zadego, w rzeczywistości był on jego wagowym.

Sprawa się wyjaśniła. Nie zwróciłem jedzenia, które zdążyłem połknąć, ale tego samego wieczora pojechałem do Stambułu postanawiając nie wracać już do miasteczka.

Stambuł był światem. Tutaj głodne psy podobne były do ludzi. Obok tysięcy Eskidzich żyło tysiące współuczestników przestępstw. Przed piekarniami tłumy. Na sytych, jadących w samochodach patrzono tak, jak my w miasteczku patrzyliśmy na Eskidzi zadego. Mówiono: „takie czasy”, mówiono: „wojna”. Ludzie milczeli, a z oddali dawał się słyszeć huk armat. Na rynkach śpiewano pieśni patriotyczne, młodzi poeci idący na tyły frontu i młodzi literaci wykrzykiwali: „niech żyje wojna, niech żyje wojna, wojna, wojna”! Umierającym śpiewano elegie, a specjalne pieśni tym, co jedli chleb kartkowy. Okrzyki: „niech żyją” wzmagaly się. „Przyszłość do nas należy” krzyczano. Po ulicach przechadzali się jak bohaterowie rudzi Niemcy o czerwonych twarzach. Co to za piękni ludzie, ci Niemcy!

Jednym słowem Stambuł był światem, pełnym ludzi jedzących, pijących i śmiejących się. Ci co nie jedli, nie pili i nie śmieli się, usunęli się w kąty i nie jedli, nie pili, nie uśmiechali się.

Eskidzi zadego spotkałem w hallu hotelu.

— Źle, sekretarzu. Mieliśmy przecież przyjechać razem.

— Tak się stało, ago — odpowiedziałem chłodno.

Zmiękł. Nieco później ja zmiękłem jeszcze bardziej od niego.

Wieczór ten spędziliśmy w luksusowym apartamencie w towarzystwie trzech młodych dziewcząt. Na stole był kawior oraz pokrajane na cienkie plasterki bielutkie bułki francuskie, które krępował się sprowadzać ze Stambułu nawet sam Eskidzi zade. Spojrzenie dziewcząt utkwione było właśnie w te bułki, które stanowiły dla nich coś bardziej wymyślnego, niż kawior i koniak...

Jedliśmy, piliśmy...

Dentysta, do którego poszliśmy następnego dnia, powiedział:

— Zróbmy z platyny, paszo. Złote ma każdy. I to złote... dobrze nie trzyma. Zrobimy z platyny.

— Możemy zrobić z platyny — rzekł Eskidzi zade. Zaśmiał się, gdy dentysta zażądał wysokiej sumy i zwracając się do mnie spytał:

— Czy w tym roku magazyn dał 10 tys. *okka*?

Kazaliśmy zrobić Eskidzi zademu platynowe zęby. Znalazł dla mnie pracę w Stambule. Tymczasem ogłoszono zawieszenie broni. Eskidzi zade wrócił do swego miasteczka. Od czasu do czasu dochodziły o nim słuchy, mówiono o jego oszustwach, on zaś chwalił się swym bogactwem. Widywałem się z nim rzadko. Kiedy przed pięciu laty zawędrowałem do miasteczka, spotkawszy mnie zawołał:

— Sekretarzu!

Ale głos jego nie dźwięczał już tak jak dawniej.

— Tutaj — mówił — tutaj coś jest, co mnie gnębi. Nie mogę tego zrozumieć. Pieczywo jest mi zabronione, męczyć się nie wolno, wzruszać się nie wolno, raki zakazane. Czyż można tak żyć? Hej, minione lata!...

Wielu było takich, co się cieszyło, kiedy Eskidzi zade umarł na udar serca. Ja nie cieszyłem się. Było mi nawet smutno, ponieważ jadłem jego chleb.

Pochowano go na „krwawym cmentarzu” naprzeciw jego magazynów. Wtedy był tam cmentarz, nie było jeszcze kina i budynku partii.

Pewnego dnia rada zarządu miejskiego postanowiła usunąć cmentarz z centrum miasta. Wycięto cyprysy. Zapach ich czuło się z daleka, a rozchodził się on tak po całym miasteczku, że zaczęły krążyć słuchy, jakoby zmarli powstałi z grobów. Trzeba było przenieść prochy Eskidzi zadego w inne miejsce. Wyniesiono więc poza miasto i tam pochowano. Ale po tym pogrzebie rozeszła się po mieście wieść, że „nic nie znaleziono w mogile Eskidzi zadego...”. To wzbudziło u wszystkich wielkie zainteresowanie. „Ciekawe — pytano się — co się stało z kośćmi tego człowieka”? Nawet najdrobniejszy rzemieślnik interesował się zwłokami wielkiego kupca i zaciekawiało go, co mogło się stać z jego kośćmi. W końcu zaczęto badać sprawę. Jeden z tych, którzy dokonywali ekshumacji zwłok, został zatrzymany. Był to młody wieśniak. Zaprzeczał wszystkiemu. Ponieważ nie było żadnych dowodów jego winy został zwolniony. Ale gdy uniewinniono go, nie uznał za niewłaściwe rozpowiadać na wszystkie strony:

— Cóż miałem robić — mówił. — Ojciec mój powiedział, że zęby jego były z białego złota. Za każdym razem, gdy przywożono pszenicę, uśmiechał się zjadliwie i pokazywał zęby. Błyszczały. Białe złoto jest bardzo cenne. Cóż robić!

— Dobrze, a co zrobiliście z trupem?

— Cóż mieliśmy robić. Zaciągnęliśmy go do wody, uwiązaliśmy kamień do szyi i chlup!

Zdawało mi się, że o tym iż nadwyżka w magazynie wyniosła 10 tys. *okka*, wiedział prócz mnie tylko Ali Atleta. Prawdopodobnie wszystkie okoliczne wsie domyślały się tylko, ale nie miały na to dowodów.

Ci, którzy wyrwali z ust nieboszczyka platynę, stanowiącą równowartość nadwyżki w magazynie, pognali do Stambułu i uzyskane pieniądze przepuścili u winiarzy i zwiędłych prostytutek.

Z tureckiego przełożyła
Stanisława Rymkiewicz

